

**Wychodzi w każdą
Sobotę.**

Cena prenumeracyjna
w całej Austrii:
rocznie 8 zlr.—półrocznie
4 zlr.—kwartalnie 2 zlr
w Niemczech:
rocznie 5 tal.—półrocznie
2 tal. 15 sgr.—kwartalnie
1 tal. 8 sgr.
we Francji:
rocznie 21 fr.—półrocznie
11 fr.—kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcja: Ulica
wałowa Nr. 19.

ŚWIT

Główne agencje: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda i A. Nowoleckiego, w Poznaniu księgarnia Zupańskiego.

Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.

Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleźć w „Świcie” wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcji egzemplarzy takowych.

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Treść: Czytelnie ludowe. — Między niebem a ziemią, powieść przez *Michała Bałuckiego*. (C. d.) — Z Waltera Scotta, przez *Adama Pajgerta* (wiersz). — Ksiądz Hugo Kollataj i jego prześladowcy, szkice biograficzno-krytyczne przez *Henryka Schmitta*. (C. d.) — Życie i sztuka, przez *Bronisława Zawadzkiego* (wiersz). — U studzienki, przez *Władysława Belzę* (wiersz) — Pitagoras, ustęp z dziejów Hellady, przez *Dr Władysława Daisenberga*. (C. d.) — Przegląd literacki. — Słowo o naszych uniwersytetach. — Same plotki, przez *Arodaza*. — Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

CZYTELNIIE LUDOWE.



I.
Czyliż nawet u nas w Galicyi potrzeba jeszcze doprowadzić pożyteczności czytelni ludowych? Dlaczego oświata udzielana po szkołach wiejskich i małomiasteczkowych dotąd prawie zupełnie przepada, żadnych owoców nie przynosząc? Boć przecie, gdyby ona zapuszczała jakie takie korzenie, to cały stan rzeczy: stan moralności, gospodarstwa, poczucia obywatelskiego, stan kultury w tej połowie gmin w Galicyi, które od dawna posiadają szkoły, musiałby już przedstawiać widok pewnego postępu i naprawy. Gdzież przyczyna zastoju? czy w wadliwości szkół? Bynajmniej. Uczą one wszystkie czytać, pisać, rachować, podają niejaki wiadomości — rzucają ziarna... Atoli ziarna te przepadają, bo brakuje wszelkich warunków, żeby mogły kiełkować i wschodzić.

Na dwóch lub trzech latach szkoły kończy się u młodzieży wiejskiej i małomiasteczkowej całe wykształcenie. Całe jej dalsze życie układa się w sposób taki, że nabytej w szkole oświaty nietylko dalej nie rozwija, ale ją zatracą. Przez całe życie zazwyczaj — wyjątki są zbyt nieliczne — nie spotyka się włościanin i małomieszczanin z żadną książką; starsza generacya nie widzi wcale, iżby tym, którzy chodzili do szkół, nauka przydała się na coś w życiu; poczucie potrzeby oświaty wcale się nie szerzy, bo brakuje łączności jej z życiem, bo nie widać dobroczynnego jej wpływu na życie.

Stworzenie takiego łącznika, takiego odżywiacza dla umysłu powinno zatem iść w parze z zakładami i ulepszeniami szkół.

Usługę tę właśnie oddają społeczeństwu w znacznej mierze czytelnie ludowe. Ich zadaniem jest sprawić, żeby oświata w szkołach nabyta nie przepadała, ale owszem żeby jej horyzont się rozszerzał, żeby przez młode, oświecenijsze pokolenia oddziaływać na starsze — aż nie będzie wcale ciemnych i dzikich, żeby przez nawiązanie i zasmakowanie w umysłowej uprawie łagodziły się obyczaje, żeby nabywana oświata rentowała się niejako we wszelkich stosunkach codziennego życia, gminnych, społecznych, gospodarskich...

Czytelnia ludowa ma za zadanie służyć tym wszystkim celom i potrzebom, i służy im istotnie... Zamiast próżniactwa i rozpusty, które dziś po wsiach i małych miasteczkach są w wolnych od codziennej pracy chwilach jedynym zajęciem ludności, czytelnia daje umysłom przyjemny pokarm, każdemu powinna dostarczyć to, co mu najłatwiej i najlepiej trafia do smaku i rodzaju jego pracy, co go zabawi, oświeci i pouczy w jego interesach. Zamiast rozpusty karczemnej lub gminnego wylegania się w niedziele i święta, czytelnia może zgromadzać dla wspólnej umysłowej biesiady, dla wspólnego czytania, zgromadzać rodziny, starszych i dzieci dla łamania się duchowym chlebem.

Nie idzie tu o to, co mówi jakiś tam starej daty ekonom, żeby z chłopów robić literatów, ale o to, żeby się lud uczyłowieczał, żeby się stopniowo wyrabiał na rozumnego gospodarza lub rękodzielnika, na rozumnego członka gminy, na obywatela, którego prawa już posiada, ale którego obowiązki nie zna dotąd wcale.

I czyż to trudno dokazać tego, żeby w każdym miasteczku była czytelnia publiczna i w każdej gminie gdzie jest szkoła? Powstają one tu i owdzie, a nikt się przecież tem nie zajmuje. Gdzie się znajdzie jeden dobrej woli człowiek, czy to ksiądz wikaryusz, czy nauczyciel, aptekarz, pocztmistrz, albo która z pań, albo światlejszy wójt — każdy znajdzie od razu sposób wzięcia się do rzeczy. Najpierw z okolicy pozбира się książki, ktoś da fundusik na pierwsze potrzeby, urządzi się jakiś bal, albo teatr na dochód czytelni... i rzecz już pójdzie. Bo czyliż to wielkich sum potrzeba, albo od razu tysiąca książek. Niech będzie 50 książek na początek — a jeżeli te zostaną przeczytane, to już interesowani sami pomyślą o nabyciu więcej.

Urządźcie no w miasteczku bal, ale dla ludności tego miasteczka, albo teatr, ale grany przez młodzież miejscową, a zobaczycie, że czytelnia stanie się od razu popularną. Na wsi potrzeba zrazu bez ludu rzecz urządzić, propagować ją przez dzieci szkolne, z pomocą nauczyciela, a gdyby i z pomocą księdza, lub pana z dworu...



Mamy już obfitą literaturę ludową, wydawnictwa księdza Bażyńskiego, Młockiego, „Czytelnie“ Nowoleckiego, mamy pisma peryodyczne dla ludu dobre i tanie, wydawnictwo warszawskie dla wszelkich rękodzielników; a zresztą popatrzcie do „Przewodnika“ Nowoleckiego, a powie wam, co kupić.

Wydawcy powinni atoli jedną jeszcze rzecz urządzić: oto ugrupować dzieła odpowiednie w kompletne biblioteki ludowe i ogłosić cenę i wykazy całej biblioteki mniejszej lub większej. Gdzie ma powstać czytelnia, tam odrazu taką gotową bibliotekę będzie można sprowadzić — dla stron dogodność, dla wydawców i księgarzy interes.

Dobry wpływ czytelnia może zwoła sprawić, że jedna i druga zagroda zaopatrzy się i w własną książkę czy to historyczną, czy gospodarską, czy religijną — taka książka zapewne napróżno w skrzyni leżeć nie będzie.

W protestanckich krajach jest zwyczaj, że każda para nowożeńców musi kupić sobie biblię, jako węgielną księgę dla nowej rodziny. Piękny zwyczaj!

U nas jest jedna instytucja — bo tak ją trzeba nazwać — która dotąd tylko ku złemu służy t. j. karczma, a która mogłaby stać się nader użyteczną — ale o tem osobno.

MIEDZY NIEBEM A ZIEMIĄ, POWIEŚĆ

przez
MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

IV.

W chwili kiedy Zygmunt robił sobie w duszy wyrzuty o niesłuszne posadzenie Ewy, Adam znajdował się już w cichym dworku wdowy na przedmieściu. Przyjęto go tam i powitano serdecznie, życzliwie. Stasia rumieniąc się pod jego wzrokiem wyrzucała mu nieśmiało, że tak długo dał czekać na siebie, że nie zająchał wprost do nich, kiedy tu dla niego przygotowała pokój z północnym światłem.

Adam był rozrzucony tą dobrocią; w otoczeniu tych dwóch życzliwych kobiet uczuł się spokojnym, odświeżonym na duszy. Po burzliwej i niespokojnej nocy, jaką przeżył, siedząc teraz w małym pokoiku, do którego przez gęste pelargonie i mirty poranne zaglądało światło, wyobrażał sobie Adam, że się obudził po ciężkim, męczącym śnie; uczucie czyste, niebiańskie, jak powiew świeżego powietrza, ostudzało jego duszę z gorączkowych ognii; nie mógł pokryć swojej radości z tego stanu błogiego i biorąc Stasię za rękę rzekł:

— Jak mi tu dobrze między wami!

— A jednak tak ci niepilno było do nas. Byłam pewniutka, że wczoraj przyjedziesz.

— Burza mnie zatrzymała u przewoźu.

— A co? nie mówiłam? — zawołała z tryumfem Stasia zwracając się do matki. — Inaczej byłby tu już wczoraj. Miałam dobre przeczucie. Ale miałam nadzieję, że w nocy przyjedziesz. Burza ustała przed wieczorem. Dlatego kazałam Jagusi czekać na ciebie i — i sama czuwałam.

Ostatnie słowa powiedziała nieśmiało, by nie wziął tego za wymówkę. Ani domyślała się, jak dotkliwym były one dla niego wyrzutem, gdy pomyślał, jakie uczucia zajmowały go wtedy, gdy ona czuwała i czekała na niego. Po tem co usłyszał trudno mu się było przypisać, gdzie noc przepędził; wołał więc wymówić się tem, że wróciwszy bardzo późno zająchał wprost do hotelu.

— I nie sprowadzisz się tu do nas? — spytała Stasia. — A może będziesz wołał mieszkać w mieście — dodała patrząc mu w oczy niespokojnie, jakby się bała, żeby nie powiedział: tak. — Może ci za daleko będzie ztąd chodzić na lekcye?

— Lekcyi żadnych mieć nie będę. Obejdę się bez nich. Mam kilka prac rozpoczętych, które mi zapewnią utrzymanie. Jeżeli więc pozwolicie być blisko was...

— Jeżeli pozwolimy? Jakiś ty dziwny. Myśmy się cieszyli na to. Nie pytając się nawet ciebie, rozporządziłyśmy twoją osobą. Mama od Wielkiej nocy nie wynajęła drugiej strony domu, by zatrzymać mieszkanie dla ciebie. Będiesz miał wygodnie i spokojnie. Ja sama urządziłam ci pokój; a przed oknami obsadziłam klomb róż bratkami, które tak lubisz.

— Jakaś ty dobra — rzekł Adam z uczuciem całując ją w rękę.

W tej chwili matka wróciła do pokoju, a za nią weszła służąca wnosząc na tacy kawę.

— Jak to, jeszcze nie nakryte? — spytała. — Spuść się tu na córkę. Panna gawędzi zamiast wziąć się do roboty.

— Natychmiast się uwinę — zawołała Stasia zerwawszy się ze stołka i biorąc się do nakrywania stołu. — Mamo, on zostaje u nas — mówiła ucieszona. — Jak to dobrze, prawda?

Matka w milczeniu spojrzała na córkę i na Adama i wzrokiem zdawała się dzielić jej zdanie.

Niezdługo wszystko troje usiadło do śniadania. Teraz dopiero rozpoczęła się gawędka na dobre. Stasia zarzucała Adama coraz to nowymi zapytaniami. Każdy szczegół dotyczący się go obchodził ją bardzo; z uwagą i zajęciem słuchała opowiadań jego pobytu za granicą i nawzajem opowiadała mu z jaką niecierpliwością wyglądały listu od niego, lub wiadomości o nim w gazetach, jak ucieszyły się dowiedziawszy się, że obraz jego dostał pierwszą nagrodę akademicką.

— Poszłyśmy zaraz na mszę podziękować panu Bogu za to szczęście, jakie cię spotkało — mówiła Stasia prostodusznie. — Czy to ten obraz, co tu w Krakowie zacząłeś?

— Tak, to ten sam.

— O, ja byłam pewną, że on się spodoba. Bo to było coś cudownego — ta zakonnica patrząca z okna swej celi na świat piękny, słoneczny, wesoły, który już nie dla niej się uśmiecha, ileż ona miała spokojnej a głębokiej boleści. Widać było po niej, że sili się umrzeć dla świata i nie może. O! nie zapomnę nigdy tej twarzy.

— Porobiłem niektóre zmiany w tym obrazie. Obok tej zakonnicy namalowałem drugą starszkę klęczącą, zatopioną w modlitwie.

— Rozumiem. Ta starszka to jej przyszłość. Młoda zakonnica po męczących walkach odpocznie tak

kiedyś w modlitwie i znajdzie spokój. Przez ten dodatek obraz nabrać musiał wiele spokoju. Jak ty znasz nasze serca. A cóż teraz robisz?

— Rozpocząłem obraz większych rozmiarów z czasów prześladowania pierwszych chrześcijan: ostatnia msza. Scena odbywa się w katakombach. Biskup daje komunię młodej Rzymiance, którą otacza grupa z kilku osób. W głębi widać zstępujących do katakomb wysłańców Cezara, którzy Rzymiankę mają zaprowadzić do sypialni Cezara lub na stos.

— A ona stos wybierze — mówiła Stasia jakby do siebie zamyślona o obrazie.

— Obraz już naszkicowałem; tu będę go wykończył. Ty będziesz mi pozować na Rzymiankę-męczennicę, dobrze?

— Ja? Zkądże ja? — pytała zażenowana.

— Masz wszystkie warunki, jakich potrzeba.

— Na męczennicę?

— Nie, na świętą.

— Moja mamó, nie pozwalaj mu tak żartować sobie ze mnie — odezwała się Stasia, robiąc minkę obrażonej.

Adam przypatrywał się z zajęciem i zachwytem swej kuzynce i rzekł:

— Naszkicowałem sobie nawet z pamięci twój portret.

— Może będzie wierniejszy od tego, któryś rozpoczął przed swoim wyjazdem. Tam mi zanadto pochlebiłeś. Zrobiłeś ze mnie jakąś heroinę.

— Jakto, więc jest ten portret u was? A mnie się zdawało, że go zabrał ze sobą. Com go się naszukał między memi rzeczami.

— Jest w twoim pokoju. Chodź, zobacz jak ci urządziłam pracownię.

Wzięła go za rękę i poprowadziła na drugą stronę domu.

Pokój w istocie był umeblowany starannie i elegancko. Stasia pamiętała o najmniejszej drobnostce. Niczego tam nie brakowało. Okna wychodziły na ogródek, w którym po za klombem róż widać było w głębi na małym wzgórku rozłożystą lipę otoczoną ławką a przed nią stolik nie duży.

— Tam ja zwykle siaduję z robotą. Ztamąd doglądać cię będę, abyś się nie próżniaczył. Musimy bardzo czynne życie prowadzić. Wieczorem dopiero będzie gawędka i odpoczynek.

Adam nic nie odpowiedział. Brak mu było słów na okazanie radości i szczęścia, jakiego w tej chwili doznawał.

— A to ten portret — mówiła Stasia wskazując na obrazek wiszący na ścianie — Sam teraz przyznasz, że niepodobny.

— To prawda — rzekł Adam zdejmując portret ze ściany i patrząc to na papier, to na Stasię — tyś o wiele piękniejsza.

— Adasiu! — rzekła z wyrzutem — bo się będę gniewać. Zrobiłeś się za granicą bardzo śmiałym i niegrzecznym. Popsuleś mi się. Dawniej nie byłś takim.

— Przy tobie będę znowu lepszym.

— Pod tym warunkiem daję ci moje przebaczenie. Podała mu obie rączki i uściśnęła w nich serdecznie dłoń swoją.

— A tam czy kto mieszka? — spytał Adam wskazując na drzwi prowadzące do drugiego pokoju.

— Tam będzie ktoś mieszkał — odpowiedziała z tajemniczą miną Stasia.

— Któż taki?

— To sekret. Postanowiłyśmy z mamą nie mówić ci o tem aż do pewnego czasu.

Złe przeczucie owładnęło duszą Adama, nie mógł wytrzymać, by choć nie spytać się:

— Powiedz mi przynajmniej: mężczyzna czy kobieta?

— Mężczyzna.

— Może twój narzeczony? — spytał Adam zgryźliwie.

— Nie a nic nie powiem. Dowiesz się z czasem.

Adam się zachmurzył. Wiadomość o nieznanym mężczyźnie obudziła zazdrość w jego sercu. Milczenie uparte Stasi utwierdzało go w tym domysle. Chciał jej robić wyrzuty, ale się spostrzegł, że nie ma do tego prawa. Dlaczegożby Stasia nie mogła mieć narzeczonego? Czyż on jej kiedy powiedział wyraźnie, że ją kocha, czyż żądał od niej wzajemności! Przywiązanie i zachowanie się jego mogła uważać jako miłość krewnego do kuzynki. Uznawał to wszystko w duszy, a jednak nie mniej przykro mu było i nie mógł już wrócić do dawnego humoru.

— No, co robić? — spytała Stasia widząc zmianę w jego twarzy.

— Myślę o tem, czy nie będę przeszkadzał temu panu, który tu obok mieszkać będzie.

— O, zaręczam ci, że nie. Będziesz go kochać równie jak ja.

— Równie jak ty? — spytał z ironią. — Zabawną jesteś moja Stasiu.

Ton, z jakim wypowiedział te słowa naprowadził Stasię na myśl, że Adam jest trochę zazdrośny. To ją ucieszyło bardzo, że jest zazdrośny o nią i wprawiło w nadzwyczajną wesołość, która Adama drażniła i niecierpliwiła.

— Zatem dziś jeszcze sprowadzisz się do nas. Dobrze? — spytała chcąc rozgadać zachmurzonego i milczącego.

— Wątpię, czy będę mógł tak zaraz.

— Cóż to znaczy Adasiu? Wszak przed chwilą inaczej mówiłeś. Cóż się tobie stało?

— Nic, nic — odparł otrząsając się gwałtem z melancholijnego humoru, który go opanował. — Mam kilka ważnych interesów do załatwienia w Krakowie. Chciałbym się z niemi odbyć zanim się tu sprowadzę.

— Czyż mieszkając tu nie mógłbyś ich załatwić? — spytała ze smutkiem w głosie. — Jak widzę, odzwyczaiłeś się od nas i trudno ci będzie przywyknąć.

Adamowi żal się zrobiło Stasi. Widział, że ją dotknął opryskliwością swoją i chcąc to złagodzić odrzekł:

— Nie dziw mi się moja droga, za granicą odwykłem od towarzystwa, zdziwaczałem trochę. Boję się czy z takim usposobieniem nie będę wam ciężarem.

— Nigdy, nigdy! Będziemy się starały rozweselić cię, rozruszać.

Łagodny ton jej słów uspokoił trochę Adama, wyrzucił sobie, że tak nie umie panować nad sobą, że jest tak samolubnym w zachceniach swoich i może mieć urazę do Stasi, iż kocha kogo innego.

— Dlaczegożby miała nie kochać? — pomyślał sobie. — Kto wie czy ten człowiek nie więcej wart jej miłości niż ja. Jakimże prawem mogę dopominać się o jej miłość? Jam nie wart takiego anioła. Nie wart nawet jestem i tej siostrzanej miłości, jaką mi okazuje, bo czemuż zasłużyłem na to?

Te uwagi pokazały mu niewłaściwość jego postępowania. To też gdy go powtórnie spytała, czy prędko do nich się sprowadzi — odpowiedział:

— Dziś jeszcze.

— Otóż tak, to lubię gdy mówisz. Posłżę Jagusię z tobą, by pomogła w przewiezieniu rzeczy.

Niebawem Adam wybrał się na miasto i w godzinę potem wrócił doróżką, w którą zabrał dwa kufry podróżne. Jagusia zaś przyszła nieco później z tragarzem, który przywiózł rzeczy, jakie koleją wysłał był Adam do Krakowa.

Rzeczy te wszystkie umieszczono w jego pokoju. Rozpakowanie zajęło dość czasu. Stasia pomagała mu i przy tej sposobności przeglądała liczne szkice, którymi teka jego była zapewniona.

— A cóż jest w tej pace? — spytała wskazując na czworograniastą podłużną paczkę ciężką bardzo.

— To dla twojej mamy — odrzekł.

— Dla naszej, powiedz. Wszak ona i twoją prawie matką była.

Adam ucieszył się tą poprawką, jaką zrobiła Stasia. Wspomnienie nieznanego bohatera mniej go straszło.

— Co tam jest?

— Zegar.

— Zegar. Tak to dobrze. Czekał, rozpakuj i wstawimy go do jej pokoju. Będzie to dla niej niespodzianką bardzo wielką.

(C. d. n.)

Z A L T E R A S C O T A.

Hurra! pieśń Donnil Duh!
Pieśń boju Donnila!
Niechaj w głos zagrzmi tu,
Zwoła Klan Konnila!
Jako z gór tryska zdroj,
Rzućcie skał wierchołki,
Spieszcie wraz, ho, na bój,
Pany i pacholki!

Z dolów, z gór, chodźcie sam!
I z lesistej skały,
Trąby głos znany wam,
Sztandary powiały,
Każdy kto nosi pled,
A pod nim pierś męzną,
Niech się tu garnie wnet
Z prawicą orężną.

Pędźcie jak wicher dmie
Gdy lasy wywraca,
Szumcie jak fala wre
Gdy floty zatracą.
Prędzej wciąż, prędzej wciąż
Kupcie się górą,
Pan i chłop, wódz i mąż,
Lenni i wazale!

Patrzaj jak kipi z gór,
Pędzą lotem ptaków,
Słyszysz szum orlich piór?
To kity kołpaków...
Pledy precz, w górę miecz!
Naprzód pierś i noga!
Z pieśnią w bój, ludu mój!
Hurra ha! na wroga!

Adam Pajgert.

KSIADZ HUGO KOŁŁATAJ

i jego prześladowcy,

szkic biograficzno-krytyczny

przez

HENRYKA SCHMITTA.

(Ciąg dalszy.)

Do Barsa zaś pisze (str. 46 T. I): „Do dnia 11 (Września) kapałem się w Warmbrunn. Dłużej czas nie pozwolił. Nadeszły zimna i słoty. Potrzeba było porzucić to uzdrawiające miejsce. Włóczyłem się po Saksonii aż do jarmarku, na który zjechałem do Lipska. Nie można było bez żadnego celu jeździć, obrałem sobie więc za cel mojej podróży fabryki i handel. Mogę się pochwalić, że w tym przedmiocie dobre mam wiadomości względem Saksonii i Szlązka, mógłbym nawet wyjść na nieobojętnego kupca co do towaru płóciennego. Mam znajomości z najpierwszymi domami i fabrykantami, wiem czego z Polski potrzebują, wiem jakie gatunki zkąd ciągnąć. Może się i to zda komu a nawet i mnie samemu. Stałem tu (w Lipsku) 19 Września. Chociaż jarmark zaczyna się w Lipsku zaraz po św. Michale, jednak handel hurtowy odbywa się tygodniem pierwej. Są tu kupcy warszawscy, z innych miast Polski jest Żydów nie mało. Wszelako kupcy tutejsi skarżą się, że ani podobieństwa nie masz jarmarku teraźniejszego do dawnych. Moskale od niejakiego czasu stracili tu kredyt, a handel polski i francuzki dla dzisiejszych okoliczności prawie za upadły uważają. Kupcy z Polski przybyli starają się więcej o układanie dawnych swoich interesów jak o nowe towary.

Wszyscy twierdzą, że Warszawa bardzo jest ogołocona z mieszkańców, a zatem i kupcy oglądać się muszą, komuby towary swoje sprzedawać mogli.“ W liście pierwszym do Szczurowskiego zawiera się specyfikacja towarów przysłanych, a prócz tego pisze Kołłataj: „Trzeba więc spróbować, jakaby mogła być sprzedaż płótna rzeczzonego, bo jeżeliby ta pomyślnie poszła, możnaby ułożyć ciągłą ekspedycję rzeczzonego towaru, czy dla mnie, czy dla kogokolwiek. Któż wie, czyliby się tym sposobem nie odbiło jakiej części kosztu mego wojażu. Chcę i tego gatunku roboty spróbować.....“ „A jeżeliby ten początek dobrze poszedł, moglibyśmy potem regularną co rok ułożyć ekspedycję tego gatunku, któryby był zyskowniejszy i łatwiejszy do sprzedania.....“ „Myśl moja względem tego towaru (rąbków w różne desenie) jest ta: P. Maryanna Sikorska mogłaby go wziąć za swój towar, a mając znajomość w wielu miejscach, mogłaby powiedzieć, że jej kto z moich ludzi w komisie do sprzedania przysłał... a to dla spróbowania, że jeżeliby był pokup i zarobek na takowym towarze, wtedyby go można przystawić tak wiele i w takich gatunkach, jakby sobie kto życzył.....“ „Gdyby się pani Sikorskiej udało ta robota, mógłbym jej zrobić piękną intratę, sprowadzając co rok

moim własnym kosztem znaczną część takowego towaru, a dzieląc się z nią na pół procentem. Jeżeli się jej ta propozycja podobać będzie, niech potentuje szczęścia, wszak wojewoda kijowski tym sposobem znaczną fortunę robi.“ W drugim liście do Szczurowskiego jest tylko doniesienie, że oddawca tegoż wręczy mu kilka sztuk płótna.

I oto wszystko, co dotyczy owych „spekulacyjek drobnych.“ Nie pojmuję prawdziwie, co w nich tak zdrożnego spostrzegł Siemiński, by aż urobić z tego zarzut przeciw Kołłatajowi, mający niby dowodzić, że jak z chciwości ubliżał godności ministra i powołaniu duchownego, tak gotów był ze względu na osobiste korzyści zrzec się swych przekonań, byle sobie upewnić wygody życia wystawnego. Mnie się zdaje przeciwnie, że Kołłatajowi możnaby prędzej poczytać za zasługę, że pobyt swój za granicą starał się i w ten zużytkować sposób, zważywszy, jak były zaniedbane wszelkie stosunki ekonomiczne w owoczesnej Polsce. Jeżeli zresztą ministrom i duchownym wolno mieć dobra i brudzić się przemysłem rolniczym, wykarmiać woły i takowe sprzedawać, czyż zawieranie tylko stosunków handlowych, jak podjęte przez Kołłataja na próbę, miałyby być sprzeczne z ich stanowiskiem i powołaniem? Wszakże Kołłataj powiada w liście do Strassera, że może ten tylko sposób pozostanie mu do zatrudnień i do zabiegów względem potrzeb życia. Nie lepiej, że chciał w ostatecznym razie radzić sobie w taki sposób uczciwy, niżby miał szukać u kogo wsparcia?

XVI.

Aby w tem gorszym świetle przedstawić Kołłataja, twierdzi Siemiński stanowczo, że listy jego z emigracji innym tchną duchem, dokąd się spodziewał, że potrafi ocalić swój urząd i dobra, lecz że ton ich się zmienił, skoro konfederacja wydała mu takowe sancytami swemi z 14 Maja i 16 Czerwca 1793, ponieważ odtąd dopiero częsta w nich mowa o cyfrach, tajemnych poleceniach i przygotowywanych w kraju robotach. W dowód, jak niezgodny z prawdą jest zarzut powyższy, przytaczam następujące ustępy z listów świeżo wydanych. W liście do Strassera z 17 Sierpnia 1792 pisze: „Jeżeli by zaś wypadło, aby przez kogo pewnego posłać listy, jest tam młodszy Mierosławski, możnaby go wyprawić, lecz to tylko w nagłej potrzebie..... Donoszę W. Panu, że tu miał sposobność dowiedzieć się od jednego z Berlina słusznego człowieka, że podział Polski był ułożony jeszcze przed pięcioma miesiącami.“ Tegoż dnia pisze do Głiszczyńskiego, posła poznańskiego: „Proszę mi donieść, kto je (konfederacye w Wielkopolsce) przyspiesza przed nadejściem Moskwy? Co do mnie, nie umiem dać w tej mierze rady, póki powtórny kuryer nie nadejdzie z Petersburga i póki nie będziemy wiedzieli, co przywiezie. Jeżeli albowiem nieograniczona moc szefów konfederacyi targowickiej zostanie, jak była bez żadnego ograniczenia, tedy próżna robota wszelka; lecz jeżeli ta moc przeniesie się w ręce króla i sejmu, zapewne nie radziłbym, by się poczciwi usuwać mieli, bo wiele dobrego ocalić można, wielu złemu zapobiedz potrafi się. Jeżeli się będę mógł widzieć z JW. Panem, więcej bym mówił, jak pisać mogę.“ Piszac 7 Września 1792 do Bnińskiego, marszałka konfederacyi Wielkopolskiej i konsyliarza jeneralnej targowickiej, donosi mu o ułożonym już przed sześciu miesiącami podziale Polski, a list kończy temi słowy: „Myślcie panowie, aby tak rzeczy polskie prowadzić, żeby ostatecznościami nie zgubić ojczyzny. Proszę tego argumentu nie brać za pozór. Znasz mię JW. Pan, więc mu się nie tłumaczę obszerniej.“ 11 Września 1792

pisze między innemi do Strassera: „Gdy się tak Bogu podobało, trzeba się upokorzyć przed jego wyrokiem i poddać się konieczności. Wyjeżdżając marszałek sejmowy (St. Małachowski) i p. Ign. Potocki właśnie to ze mną ułożyli, aby nigdzie u żadnego dworu nie być i wcale drugiej partyi nie formować a to dlatego, żeby rozdzieleniem nie dać powodu do podziału kraju, którego ja się obawiam dotąd z bardzo słuszych przyczyn. Ustąpiliśmy więc zupełnie tamtej partyi. Niech robi szczęście narodu, choćby z naszym prześladowaniem i zgubą. Jeżeli to będzie pomocne w szczęściu ojczyzny, powiem, że i tak jej byłam przydatny. Moja nędza stanie mi się wówczas słojszą, gdy Polak będzie wolnym, rządym, niepodległym i szanowanym u obcych, jeżeli kraje Rpltej będą całe i siła jej polityczna wystarczy do jej obrony. Ale gdy tylko na to mię prześladować będą, żeby anarchye i podłość naszą uwiecznić, osoby mojej prześladowanie stanie się dla mnie szlachetniejszym, lecz ojczyzna nieszczęśliwszą.“ 29 Września pisze do tegoż: „W położeniu dzisiejszem jest rzecz bardzo delikatna względem samej Polski świecić oczami w jakimkolwiek dworze, bo do zguby naszej niczego więcej nie potrzeba, jak wskrzeszenia dwóch partyi lub przynajmniej dania do podejrliwości okazyi, że jeszcze być mogą.“

W liście z 6 Paźdz. 1792 (str. 54 T. I) pisze do Barsa: „My sobie głowę łamiemy, bo nie możemy wszystkiego przewidzieć, a opatrność może lepsze o losach naszych napisać wyroki, niż się spodziewamy; jak często najwięksi nieprzyjaciele nie wiedząc o niczem, dopomagają tym, których zniszczyć przedsięwzięli. Wy wszyscy rozpaczacie o Polsce, a ja nie tracę nadziei. Kiedy my różne wyobrażenia czynimy sobie o hańbie kończącego się wieku i nieszczęśliwości rodzaju ludzkiego, kto wie co nakoniec wypadnie?“ A str. 56: „Pytasz mię się W. Pan, czyli w Polsce żyć będzie można? Takowe zapytanie przeraża najdotkliwsem czuciem serce do swej ojczyzny przywiązane. Są Anglicy, którzy dla zysku osiedli z całym swoim majątkiem i rodziną nad brzegami Wołgi i Newy. Co jednak przystoi wolnemu Anglikowi, gdy się za swym szczególnym ubiega zyskiem, toby go zapewne trapiło, gdyby widział naród swój pod przemocą obcej potęgi lub wyniesionego nad równość obywatela. Były czasy na Anglią okropne; widzieliśmy, że nawet w Polsce osiadało bardzo wielu Anglików uciekających od przemocy. Mamy dotąd jeszcze trwające u nas rodziny angielskie, co w podobnych przypadkach wyniosły się z Anglii. Lecz któż jest w stanie przewidzieć losy narodów? Gdyby wszyscy cnotliwi Anglicy opuścili byli swą ojczyznę w czasach tak krytycznych, któżby ją później uratował i do tak kwitnącego przywiódł stanu, w jakim się obecnie znajduje? Wszędzie i zawsze jest kilka ofiar przeznaczonych od opatrności dla przykładu następnyim pokoleniom; lecz biada temu narodowi, którego by wszyscy odstąpili poczciwi. Są albowiem czasy upadku i powstania, a sama tylko opatrność wie, któremu narodowi kres ostateczny przeznaczyła. Rewolucya dzisiejsza w Polsce jest nadto gwałtowna, aby się w takim stanie utrzymać mogła. Jeżeli rezonowania powyższe nie są zbyt lekkimi konjekturami, sam W. Pan widzisz, wiele to jeszcze Polsce zostaje do powstania sposobów. Nie można dzisiaj przewidzieć wszystkich zamysłów Moskwy, nie można wiedzieć, jak się interesa francuzkie zakończą. Póki Polska tylko cała, ja nigdy o jej powstaniu nie rozpaczam. Samo tylko rozszarpanie tego narodu śmierć by mu polityczną przyniosło. Dlaczego nie chwaliłem, nie chciałem nigdy i nie chwale tego układu, który ludzie cnotliwi w zbytku żalu swego przedsięwzięli. Można się usunąć na czas niejaki od zemsty i zawzię-

tości ludzkiej. Trzeba nawet, aby poczciwy człowiek nie wystawiał się na niebezpieczeństwo skażenia swego charakteru; lecz cóż mu ojczyzna winna, aby ją na zawsze opuszczał? Przedstawiwszy wszystkim jako przykład godny naśladowania w Arystotelesie, pisze dalej (str. 58): „Otoż to jest przykład prawdziwej obywatelskiej cnoty. Niech sobie kto chce, wysławia okrutnych Brutusów i rozpacznych Katonów; poczciwy obywatel póty do swej ojczyzny serca tracić nie powinien, póki tylko widzi, iż trwa jej imię, bo tak gruntownej sztuki zgadywania nikt nie posiada, aby siebie i drugich mógł zapewnić, że mu już wszystkie sposoby ratunku wydarte zostały. Niech będą jak chcą zdesperowane rzeczy, jeden cnotliwy wiele potrafi naprawić. Jego przykład dobrych zapali, słabych utwierdzi, a złych nawet jeżeli nie nawróci, to przynaj-

mniej zawstydzi i upokorzy. Dlaczegoż poczciwy ma opuszczać swą ziemię? Cóż on przez to da poznać? Oto, że albo nie był wstanie wytrzymać hańby swego własnego narodu, albo był swej ambicji, nie wolności obrońcą. Niech się odmienia, jak chce, los ojczyzny około cnotliwego człowieka, serce jego rozum i mocne przekonanie nigdy się odmieniać nie powinno.....” „Mam ufność w litościwej opatrności, że nie dopuści zguby ostatecznej na mój naród, że mu da czas powstania, że mu jeszcze użytecznym być mogę i że w tak przykrym rzeczy stanie przekonania własnego dla żadnych nie skażę widoków, a zatem postanowiłem nie opuszczać najniebezpieczniejszej naszej ojczyzny.“

(C. d. n.)

ŻYCIE I SZTUKA.

O moje dziewczę rozkwitnięte
W posępnej lilii kwiat,
Rzeczy twoje leżka przysłonięte
Cierpienia noszą ślad.

Tam na poddaszu masz izdebkę
I ptaszka w klatce śpiew,
W błękitach natchnień masz kolebkę,
W donicze mirtu krzew.

Patrzałaś w gwiazdkę — i stoczyła
Się leżka z twoich rzeź,
Potem, że siostra głodna była,
Dałaś jej chleba kęs.

A gdy wybuchłaś w płacz na scenie,
Że martwy głaz by zmiękł,
Nie sztuki było to złudzenie,
Lecz życia szczerzy jęk.
Bronisław Zawadzki.

U STUDZIENKI.

(Z NERUDY.)

U studzienki dziewczę stoi,
Ciche — jako szmer strumienia,
Blade — jako lilii czoło...
A tam w górze, w białej zbroi,
Miesiąc wybiegł na sklepienia,
A w krąg niego jasne koło.

— „Stara matka mi mówiła,
Że z kropelki wód małejkiej
Dzieci rodzą się na świecie...
A więc do brzemienia uczyniła,
Żem schowała do studzienki
Moje biedne, małe dziecię!“

Władysław Bełza.

PITAGORAS,

USTĘP Z DZIEJÓW HELLADY

skreślił

DR. WŁADYSŁAW DAIENBERG.

(Ciąg dalszy).

Bo ostatecznie, czemże jest naród, jeżeli nie zbiorem wielu rodzin, a czemże jest rodzina, jeżeli nie zbiorem jednostek, połączeniem męża z żoną i rodziców z dziećmi? Jak też wyższa umysłowość żony lub męża a poniekąd może i dziecka nadaje właściwości cechujące rodzinie, tak przez rodzinę oddziaływa jednostka na swój naród, a to co zwykle duchem czasu nazywają, nie jest niczem innym, jak tylko duchem genialnych jednostek, które będąc geniuszami, już tem samem miały dane po temu, aby mogły wpłynąć, jeżeli nie na ludzkość całą, to na jeden lub kilka narodów, i tymże wpływem swoim owego ducha czasu wywołać. Dla tego też słusznie Carlyle (*on heroes t. I, str. 71*), i Taine (*hist. lit. ang. t. V, str. 307 etc.*) powiadają, „że historia powszechna jest w gruncie rzeczy historią wielkich ludzi pracujących na ziemi; wielcy ludzie są przewodnikami

narodów, oni są w szerszym tego słowa znaczeniu twórcami tego wszystkiego, co masy ludzi razem wzięte osiągnęły lub zdziałały. Wszystkie przedmioty, jakie ludzie sobie utworzyli, są właściwie wcieleniem myśli, które pierwiej w wielkich ludziach przebywały; historia wielkich ludzi jest więc istotnie duszą historii świata całego, a każdy wielki człowiek, czyby on miał być poetą, reformatorem, człowiekiem czynu, pisarzem lub objawicielem, jest w każdym razie zwiastunem, wysłanym przez Wszechmocnego z nowinami dla nas.“

Jak znów jednostkowy człowiek o pierwszych latach życia swojego nic pewnego wie, zwłaszcza z własnego przekonania t. j. za pośrednictwem własnej pamięci i świadomości, nie może, tak też i naród żaden nie może nic wiedzieć o pierwszej epoce swoich dziejów, o epoce tak zwanej przedhistorycznej. Jednakże gdy

wrodzona myśli jego ciekawość prze go ku rozwiązaniu stawianych sobie pytań co do pochodzenia swego i swoich współbraci, wyobraźnia swoją wytwarza sobie odpowiedź, któreby mogły jego ciekawość zaspokoić, jego wątpliwości usunąć, któreby mogły zwyczaj i właściwości jego narodu i czasu usprawiedliwić, wytłumaczyć przepisy moralności i prawa, które sumienie człowieka samo z siebie wysnuwa, a czując się sam tylko drobną cząsteczką tego wielkiego świata, jedną kropelką w oceanie wszechrzeczy wyspiewywa sobie przez natchnionych ludzi z swojego otoczenia niby tradycje religijne, które w połączeniu z iskrą prawdy, która w głębinie duszy człowieka od wieków tkwić musiała, stanowią samorodną religię każdego narodu.

Naprzód pojawił się chaos, następnie ziemia i miłość; z chaosu powstała noc, ziemia porodziła niebo i poślubiła się z niem, i z tego małżeństwa przyszło na świat dwunastu tytanów i tytanid, trzech cyklopów i trzech „sturekich”. Niebo bało się swojego potomstwa i ukrywało je w wnętrznościach ziemi, której to znowu wielkie sprawiło boleści, w skutek których wydała z siebie na świat żelazo; z tego żelaza zrobiła sobie sierp i prosiła tytanów swoich, aby pomścili się na niebu za gwałty jego. Najmłodszy tytan czas odważył się na ten krok ojcobójczy i ziemia ukryła go przy sobie, a gdy niebo zstąpiło na ziemię, aby ją w swoje objąć ramiona, wyskoczył z ukrycia czas i sierpem powierzonym sobie przez matkę swoją odciął ojcu swojemu części rodne i rzucił w morze, z tych powstała Afrodyta, a z krwi, która z rany nieba na ziemię spływała powstały mścicielki (erinie) i inne podrzędne bóstwa. Po Niebie objął panowanie Czas, który sam ojcobójca przeżywał, że jego koniec czeka także przez jedno z dzieci jego, więc każde po urodzeniu zaraz połykał, dopiero gdy się Zeus narodził, podano mu zamiast dziecka kamień w powijkach. Tym sposobem uratowany Zeus wyrósłszy, podstępem zmusił ojca do zwrócenia połkniętego rodzeństwa swojego, Hestyi, Demetri, Hery, Posejdona i Hadesa, wraz z kamieniem, który jako świętość w pobliżu świątyni delfickiej przechowano. Zeus swą dzielnością i chytrą odzyskał panowanie i przechował je aż do końca pogańskiego świata. Tak opisuje Hezyod pierwsze chwile życia świata, a każdy nie uprzedzony przyzna, że opis ten raczej podobny do wybujałej fantazyi dziecięcia, niż do allegorycznej powagi filozofującego meża. To też podzielam zupełnie zdanie Grote'a (*hist. Grecyi, wyd. niem. t. I. str. 3. 272 Svo.*), że nie należy brać religii hellenńskiej za wspaniałą allegoryę, lecz za utwór dziecięcej lub chłopięcej wyobraźni, za produkt tego rodzaju, przy jakim jeszcze i dzisiaj zasypia w kolebce dziecięta, kiedy go nianka jej opowiada. Inna rzecz, czyli w religii hellenńskiej nie ma allegorycznych ustępów, na to się chętnie zgadzamy, lecz mielibyśmy to do dorzucenia, że ustępy te z późniejszych czasów pochodzą, bo allegorya wymaga już umysłu więcej meżkiego, głębszego, starszego, dla tego też napotykamy u późniejszych poetów hellenńskich więcej allegoryczności, jak u najstarszego z nich, u Homera. Myty należy tłumaczyć sobie ze stanowiska tych czasów (Grote *l. c.* 273), gdzie ludzie jeszcze nie umieli ani czytać ani pisać, lecz tylko widzieli, słuchali i opowiadali. Tych ludzi wyobraźnia wszystkie pojawy światowe odnosiła do istot zupełnie podobnych do człowieka, tylko fizycznie i intelektualnie silniejszych, a młoda jeszcze myśl zadawała się na razie nawet powierzchownymi wyjaśnieniami zawiłych kwestyi, tem więcej, ile że podówczas nie znano jeszcze umiejętności pozytywnych, które po dziś dzień rozwinały się, na każdym kroku owym fantastycznym my-

tom kłam zadają. Bezpośredni pogląd na świat i jego wrażenia na umysł człowieka a nadto uczucia jego serca, oto jedyne źródła starohellenńskich mytów, jak i jedyna treść epepej Homera, to też słowo „mytos” właściwie, przynajmniej u Homera, a nawet i u tragików oznacza po prostu: opowiadanie, powiedzenie, bez względu na to, czyli ono jest prawdziwem lub nieprawdziwem; myt u Homera nie oznacza nigdzie, jak po dziś dzień zawsze, czegoś nieprawdziwego, bajecznego; to nowożytnie znaczenie mytu napotykamy najpierw dopiero u Pindara, a następnie u Platona, Demostenesa i innych współczesnych pisarzy (*por. Papégo gr. niem. sl. str. 210. t. II.*), Grote (*l. c.* 285) słusznie powiada, że jeżeli nam myty hellenńskie są nieprawdą w sobie zawierającą, ale piękną a więc interesującą poezją, to dla współczesnych były one istotnie „*rerum divinarum et humanarum scientia*” t. j. nauką wszystkiego, Zarazem należy mieć i to na uwadze, że lud hellenński w szczególności, a pogański w ogólności, jeszcze za czasów Pauzaniusza, w drugiej połowie drugiego wieku po Chrystusie, w rzeczywistość mytów starohellenńskich wierzył, a tylko głębsi myśliciele, zwłaszcza ludzie, którzy zaznajomili się z innymi religiami, jak z egipską, indyjską, mazdejską a przede wszystkim hebrejską i częściową wyższość takowych uznawali, zupełnej wiary do swojej narodowej religii nie przykładali, chociaż i na genialnych myślicielach nie zbywało, którzy wiarę przodków za świętość nietykalną uważali, jakimi byli n. p. Sofokles i Aristofanes.

Nowsza racjonalistyczna szkoła, która religię hellenńsko-rzymską ze stanowiska religii natury allegorycznie tłumaczy (Müller Otfryd, Duncker, Preller, Emil Burnouf i inni) nie zasługuje na uznanie z tej przyczyny, że zapoznaje prawa natury ludzkiego ducha. Wprawdzie nie ma przyczyny zaprzeczać, że naród hellenński jest jedną gałęzią z konaru ludów aryjskich, że gdy się oddzielił od pnia wspólnego, już tem samem przyjął i zasady religii aryjskiej, (*por. Duncker'a hist. star. t. III. str. 6. etc.*), lecz właśnie ta okoliczność, że religia hellenńska wielce się różni od religii aryjskich n. p. mazdejskiej, indyjskiej, dowodzi, że to, czem się te religie różnią pomiędzy sobą, jest produktem oryginalnym chłopięcej bujnej wyobraźni przedhistorycznej Hellady. Studya nad filologią porównawczą dowodzą, że nie tylko Rzym i Hellada, Germanie i Słowianie są ludami aryjskimi, można powiedzieć młodszymi braćmi Medów i Persów a następnie i Indów, lecz nadto, (zwłaszcza studya Rudolfa Raumera dowodzą tego), że języki aryjskie są pokrewne z językami semickimi, do których prócz assyryjskiego, hebrejskiego, fenickiego, arabskiego, także i egipski należy, a ztąd wypływa, że i główne pojęcia religijne były wspólne tak ludom aryjskim jak i semickim. Znaczy to tyle, że przez analogię można powiedzieć, iż wszystkie ludy z jednego wypłynęły ogniska, z jednego ziarnka wyrosły, tak plemiona mongolsko-turańskie, jak i czerwonoskórzy amerykańscy lub ludy australskie, albo i murzyni afrykańscy.

Tym sposobem nie ulega wątpliwości, że i lud Hellenński od najdawniejszych czasów posiadał tradycję historyczną, przekazaną sobie przez praojców swoich, tak co do religii, jak i co do zwyczajów i obyczajów swoich, co do moralności i prawa, a nawet i poniekąd co do historii ubiegłych czasów, lecz nie można nie przyznać, że z czasem ta tradycja uleść musiała wielkim zmianom bądź w skutek parcia staro-hellenńskich wieszczów n. p. Homera, Hezyoda lub w skutek wpływu innego, obcego, cywilizacyjnego żywiołu. Hellada sąsiadowała z jednej strony bezpośrednio z Lydyą i Frygją, a za tychże pośrednictwem i z Syryą, Assyryją, Babilonią, Medją i

Persyą, zaś z drugiej strony z Egiptem, nie można też zaprzeczyć, aby te od hellenickiej bez porównania starsze cywilizacje, nie wpłynęły na Helladę, zwłaszcza, że i odległość nie była tak bardzo wielką, albowiem z Miletu do Memphis, stolicy Egiptu nie było dalej jak 120 mil geograficznych, z Miletu do Sardes, stolicy Lidyi mogło być najwięcej 25 mil, do Jeruzalem najwięcej 150 mil, do Niniwy około 200, do Babilonu około 250, do Ekbatany, stolicy Medyi około 300, a do Persepolis lub Pasargade stolic Persyi około 350 mil geograficznych. Znajac ruchliwość handlu hellenickiego, a nadto zamilowanie do odbywania podróży mędrców hellenickich, czyż można dziwić się, słysząc, że n. p. Pitagoras doszedł aż do Babilonu?

Historycy wszystkich przekonań uważają wspomniane powyżej podania o Zeusie, jego przodkach i

potomkach za wymysł fantazyi Hellenów; różnią się tem tylko od siebie, że kiedy jedni w podaniach tych chcą widzieć tylko opowiadania fantastyczne, jakie i po dziś dzień jeszcze nuca nianki nad kołyską dziecięcia, inni dopatrują się tam znaczenia allegorycznego, jakie znaleźć można dopiero w produktach głębokich myślicieli lub dydaktycznych poetów. Ja podzielam w zupełności zdanie pierwszych; rozważając zwyczaje i obyczaje, religię i poezję, słowem życie całe Hellady homerowsko-hezjodowskiej, nie mogę tam dopatrzeć się śladu refleksyi głębokich. będących podstawą allegoryczności, widzę tam tylko bezpośrednią wrażliwość tak zmysłów jak i uczucia, jak to samo widzieć możemy i po dziś dzień jeszcze w pierwszym peryodzie życia każdego człowieka.

(C. d. n.)

Przegląd literacki.

Minzloff R. dr. Literaturgeschichte der Völker des Alterthums. Hannover 1872.

Kiedy przed niedawnymi jeszcze czasy głównym przedmiotem dziejów ludzkich były opisy bitew toczonych niezawsze pomiędzy nieprzyjacielskimi narodami, lecz często między dziećmi tejże samej ziemi, a nawet obywatelami jednego i tego samego miasta — jak najdokładniejsze wyliczanie zmian dynastyi władających ludami: dziś jądro dziejów stanowią dzieje ludzkości jako takiej, t. j. ludów poddanych, treść ich życia codziennego, ich zwyczajów i obyczajów, ich stanu moralności i wykształcenia; a szczególnie literatura bywa najciekawszym przedmiotem dziejów ludzkości, zwłaszcza gdy zważymy, że obok naszych własnych oryginalnych idei, wiele, bardzo wiele zawdzięczamy literaturze ludzkości upłynionych wieków, tak iż można śmiało powiedzieć, że żyjemy ideami i wyobrażeniami przekazanymi nam przez praojców naszych.

Jeżeli literatura w ogólności tak ważną odgrywa rolę, nie dziw, że mile wita się każdą pracę, która do historii literatury się odnosi. Chociaż już wiele dzieł o historii literatury spisano, nie można jednak zaprzeczyć, że dotąd nie ma w żadnym ze znanych języków należycie napisanej historii literatury powszechnej. Z istniejących, zda mi się, niezaprzeczenie należy przyznać pierwsze miejsce dziełu Grässego, lecz i ono więcej zajmuje się tak zwaną zewnętrzną historią literatury aniżeli wewnętrzną, więcej bibliografią i biografią, aniżeli treścią literackich płodów. Zresztą jest dzieło Grässego cokolwiek przestarzałem, szczególnie w swej części traktującej o oryencie, gdyż nowe i najnowsze odkrycia i wynalazki w dziedzinie historii starożytnego oryentu i literaturę oryentalną w innym i naturalnie odpowiedniejszym stawiają świetle. Dlatego też nowa praca zajmująca się historią literatury zwłaszcza starożytnej i średniowiecznej, jeżeli tylko będzie dobrą, wcale nie będzie zbyt cenną i owszem bardzo cenną i pożyteczną.

W dziele przytoczonym przedstawia autor dzieje literatury starożytnej. W przedmowie powiada, że dzieło jego zawdzięcza swe wyjście na świat prelekcyom, które jako profesor uniwersytecki miewał i że z notatek dla swej pamięci czynionych dzieło to ułożył.

Ażeby mózgi wydać sąd o tej pracy zresztą w świecie literackim nieznanego autora, należy przypatrzeć się ładowi i składowi tej pracy.

W wstępie mówi autor o stosunku historii literatury do historii politycznej i o ważności pierwszej, a następnie o ostatnich filologicznych wnioskach co do pochodzenia i pokrewieństwa pojedynczych języków.

Historia polityczna opowiada, jak ludy działały, historia literatury przypomina, co ludy mówiły a raczej co czuły i o czem myślały; w epejach Homera, w komedjach Aristophanesa, w listach Horacego łatwo pod słuchać ducha epok, w których ci pisarze żyli, ducha rasy, do której należeli. Mimo wszystkich rozumowań pozytywistów, którzy idee i ideały za fantazmagorię i mrzonki poczytują, jest pewnikiem dowiedzionym przez historię oświaty, że idee wpływają na pochod dziejowy a zaród wszelkiego postępu tkwi właśnie w gorliwości przywiązywania się do idei. Te idee nie są przypadkowymi płodami ludzkiego umysłu, lecz wiążą się z sobą w jedną nierozłączną całość, a historia oświaty poucza nas, że takim sposobem świat dzisiejszy zawdzięcza wiele z swoich idei światu starożytnemu. Dzisiejsze ludy Europy wypożyczyły sobie od ludów starożytnych niemal wszystko swoje duchowo-umysłowe mienie, począwszy od alfabetu, jako formalnej podstawy wszystkich umiejętności, aż do najwyższych prawd filozofii i do objawionych prawd religii. Jeżeli więc religia, umiejętność, sztuka i polityka nie są wyłączną własnością pojedynczych ludów, pozostaje im tylko mowa jako płód najoryginalniejszy. Zważywszy zresztą, że mowa jest podstawą wszelkiego umysłowego życia człowieka, musimy przyznać, że filologia w właściwym tego słowa znaczeniu, to jest umiejętność mająca za zadanie zbadać istotę i pochodzenie ludzkiej mowy, a następnie pokrewieństwo szczegółowych języków, jest podstawą historii literatury.

Postawiono hipotezy rozmaite co do pochodzenia mowy; według tych miałyby być mowa albo dziełem człowieka, albo darem bożym, albo wreszcie utworem przyrodzenia. Najmniej zasługuje na uznanie ta hipoteza, według której mowę miałyby sobie sam człowiek utworzyć naśladowując głosy zwierząt. Na to ostatnie twierdzenie autora zgadzam się zupełnie; fizjologiczno-psychologiczne spostrzeżenia czynione nad ludzką mową dowodzą bezsądnosci tej hipotezy, którą dawniej za dogmat uważano; przeciwieź uczyliśmy się z komeńiusza: „zrazu rozmawiali ludzie na migi.“ Max Müller nie chcąc rozwiązać węzła tej kwestyi, rozcina go mówiąc: „Mowa może być płodem przyrodzenia, dziełem ludzkiej sztuki, lub darem bożym.“ Jeżeliby mowa istotnie była płodem przyrodzenia, byłaby

najlepszym z wszystkich, jakimi człowieka obdarowało to przyrodzenie; jeżeliby zaś mowa była wynalazkiem człowieka, należałoby przyznać, że artysta sam siebie przewyższył; jest że zaś mowa darem bożym, to jest ona największym darem gdyż tylko przez mowę jest człowiek w stanie wyrazić pierwiastek boży w nim się mieszczący.

Najważniejszym rezultatem filologii jest wykazanie stopnia pokrewieństwa pojedynczych języków pomiędzy sobą. Starożytności nie przychodziło wcale na myśl, aby języki barbarzyńskie miały być pokrewne boskim językom Hellady i Romy. W wiekach średnich uważano język hebrejski za najstarszy, a niektórzy uczeni usiłowali nawet dowieść, że w raju mówiono językiem szwedzkim, holenderskim lub innymi. Leibnitz poruszył to pytanie ze stanowiska naukowego i odtąd rozpoczęto zbierać materiały, mające służyć za podstawę do dania odpowiedzi stano-
wczemu na to pytanie. Pierwsze miejsce, jako zbiór materiałów, zajmuje Mitridat wydany przez Adelunga i Vatera. Założenie w r. 1784 towarzystwa azjatyckiego w Kalkucie, przyczyniło się do odpowiedzi na postawione zapytanie w bardzo znacznej części, a mianowicie tem, że zapoznano uczonych europejskich z sanskrytem, mową starych Indów. Już od samego początku dopatrzono się wielkiego podobieństwa sanskrytu z językiem greckim i łacińskim; pierwszy jednak wytłumaczył to dotąd zagadkowe podobieństwo Fryderyk Schlegel. On w wydaniu w r. 1808 dziele swoim: „O języku i mądrości Indów“ dał podstawę do późniejszej klasyfikacji języków, wprowadzając grupę języków indo-germańskich. Bopp znów w dziele swoim r. 1816 w Berlinie wydanem „*Das Conjugationssystem der Sanskritsprachen, verglichen mit jenem der griechischen, lateinischen, persischen und germanischen Sprachen*“ dowiódł pierwszego pokrewieństwa języków indo-germańskich. Za przykładem Boppa poszli pierwszorzędni filologowie Wilhelm Humboldt, Jakób Grimm, Burnouf, Benfey, Max Müller, Steinthal i inni. Z prac tych uczonych okazało się, że i sanskryt nie jest pierwszą t. j. najdawniejszą mową, lecz tylko siostrą starszą reszty indo-germańskich, indo-słowiańskich a właściwie mówiąc, indo-europejskich języków. Zwrócono

też głównie za przykładem Wilhelma Humboldta uwagę obok pierwiastków na morfologię i na fleksyjność językową. Tym też sposobem wykazano różnicę, jaka zachodzi między językami fleksyjnymi, nieodmiennymi i przyczepkowymi.

Klasyfikacja języków dotąd nie została zgodnie uporządkowaną, przeciwnie nieskończony pod tym względem panuje chaos. Naturalnie najdokładniej są zbadane języki indo-europejskie, mniej dobrze znane języki ertiańskie, które razem z indo-europejskimi stanowią plemię aryjskie. Obecnie toczy się walka czyli języki aryjskie są pod względem swego pochodzenia spokrewnione z językami semickimi lub też nie. Prace Rudolfa Raumera wykazują wbrew zdaniu w swoim rodzaju znakomitego filologa Schleichera, że między językami semickimi a aryjskimi zachodzi pokrewieństwo, dowodzące wspólnego ich pochodzenia. Gdy twierdzenie to Raumera, zapewne po długich jeszcze walkach, przez badaczy kompetentnych za prawdziwe uznanem zostanie, będziemy mieli ściśle naukowy dowód na to, w co dzisiaj tylko wierzymy, co zresztą uważać możemy za wielce prawdopodobne, niezem nie zbite naukowe przypuszczenie, że umysłowe życie człowieka, począwszy od jego podstawy, od mowy, a skończywszy na filozofii i na religii z jednego wypływa ogniska. Wprawdzie chociaż udowodnioną będzie wspólność pochodzenia języków semickich z aryjskimi, pozostanie jeszcze dowodzić wspólności pochodzenia języków semicko-aryjskich z mongolskimi i turańskimi, lecz dowód ten zapewne później przeprowadzonym zostanie, a zresztą ludom mongolsko-turańskim cywilizacja dzisiejsza, jak i dawniejsza, niemal zupełnie nie zawdzięcza i ludy te raczej cywilizację semicko-aryjską przejąć powinny: przeto nie ulega wątpliwości, że skoro tylko uczeni przyznają słuszność wywodom Rudolfa Raumera, że języki indo-europejskie są spokrewnione z językami semickimi, już tem samem przyznają, że ludzkość z jednego wyrosła ziarna a pojedyncze ludy są jakoby tylko gałęziami jednego i tego samego drzewa, tak dobrze pod względem fizycznym, jak i pod względem umysłowym.

(Dok. n.)

Słowo o naszych uniwersytetach.

Z listu jednego z współpracowników naszych warszawskich wyjmujemy następujące uwagi:

„Jednocześnie z młodzieżą, w bieżących miesiącach i profesorowie uniwersytetu warszawskiego składali dowody swych prac i nauki doktoryzując się w różnych uniwersytetach cesarstwa. Niemily ten obowiązek został im narzucony przez ustawę przekształcającą szkołę główną na uniwersytet. Cel tego rozporządzenia nie trudno odgadnąć. Jak świat istnieje, nikt jeszcze nigdy nie słyszał o tem, ażeby ludziom od lat kilku lub kilkunastu wykładającym z katedr, ludziom, którzy nietylko już udowodnili swe pedagogiczne zdolności, ale i swą wiedzę w pracach naukowych — ażeby ludziom tym kazać jechać do uniwersytetów w Rosyji i tam kazać im się z kwalifikacji legitymować, kiedy oni legitymowali się już z tego w uniwersytetach niemieckich i na stanowiskach profesorów i dziekanów sami drugim te kwalifikacje udzielali. Nie ma jednak tego złego, coby na dobre nie wyszło. Dopełnienie tej formalności było przykrem i nieprzyjemnem, natomiast wszakże ta okoliczność pozwoliła naszym uczonym okazać przed rosyjskimi profesorami swą wiedzę gruntowną i sumienną, poważną pracę. Polacy imponowali w Rosyji swojemi dziełami, a doktoryzacya wielu lekarzy i niektórych prawników, jak Holewińskiego

i Miklaszawskiego były prawdziwie świetne i wiele zrobiły rozgłosu warszawskiemu uniwersytetowi. Pomimo wszystkiego, ciągle trwa zakaz ministra oświecenia, aby żadnego Polaka i katolika na katedrę w uniwersytecie warszawskim nie powoływać. Z Polaków dzisiaj są ci tylko, którzy ze szkoły głównej zostali na profesorów uniwersytetu powołani, ale ani nikt nowy, ani nawet dawny profesor b. szkoły głównej dziś do uniwersytetu powołanym być nie może. Sądzę też, że na całej kuli ziemskiej, nigdzie uczony w tak przykrych nie znajduje się warunkach jak obecnie u nas w królestwie. Nigdzie niechęć uznać jego pracy, wszędzie zagrządzają mu pole do rozwoju naukowej działalności. W Warszawie nie dopuszczają go do katedry, bo jest Polakiem i nie jest prawosławnym, w Krakowie i Lwowie, bo pochodzi z królestwa, nie z Galicyi. Jest to straszne, a jednak prawdziwe. Nie mówię już nie o Warszawie, bo tu gospodarują przeciw ci, którzy nas niezbyt kochają, ale w Galicyi postępowanie uniwersytetów jest niedodarowania. Tam to my sami siebie prześladowujemy. Tworzymy towarzystwa wzajemnej admiracyi, popieramy naszych krewnych i powinowatych przedewszystkiem, a potem każdego byle nie z królestwa. Jest to tylko smutny dowód, że bolesne wypadki polityczne, które nas na części

podrobiły, stworzyły z nas trzy różne narody. Wiadomo przecież, że np. uniwersytet Jagielloński nigdy nie chciał dopuścić do katedry nikogo z królestwa — Bartoszewicz, Węclewski nie znaleźli w nim pomieszczenia, że już nie wspominamy innych. A gdzież przyczyna tego? W nieszczęśliwej powiatowszczyźnie i w tem, że się Galicya zniemczyła, pomimo, iż ciągle walczy przeciw Niemcom, nie chce przyjąć ich zalet — ale przejmując wady. Wszakżeśmy wszyscy Polacy, którzy po polsku mówimy, i jedną za sobą mamy historię, wszakżeśmy wszyscy sy-

nowie jednej ziemi i jedną powinniśmy tworzyć rodzinę, zwłaszcza w obec nauki różnice miejsca urodzenia, są więcej niż śmiesznością nie dodawania, tem boleśniejszą, że wielce szkodliwą w następstwach, bo dla tych dziwacznych uprzedzeń, pozbawia niejedne siły do naukowej pracy zdolne, odpowiedniego jej pola. — Darujcie mi, żem się nad kwestyą uniwersytetów rozwiódł za długo, ale lżej sercu, gdy dawno gniotący go ciężar zrzuci raz jeden i głośno się wyskarzy z tego, co go boli i smuci.

SAME PŁOTKI.

II.

Do JMPani S. M. w Uściu.

Mościa Pani

Dobrodziejko!

Co też Pani mnie nieszczęśliwemu narobiłaś? Napisałaś do redakcyi *Switu* list, z którego mi redaktor naczelny każe następujący przedrukować ustęp:

„Imci Pan Arodaz tak przemówił już nie do serc, ale do ambicyi naszej, że choć już należałam do składek na oświatę, jednakowoż rozgniewana kłującym jego tonem, postanowiłam rozpocząć składkę w moim sąsiedztwie na ten cel, a co zdołam uzbierać, odeszłam do redakcyi *Switu*, by już potem w spokoju i bez wzburzenia żółci odczytywać dalsze odezwy IMCi Pana Arodaza.“

Czy też się Pani Dobrodziejka zastanowiłaś nad fatalnymi skutkami, jakie wyniknąć mogą, co powiadam! muszą, z tego ogłoszenia powyższych słów kilku?... Czy domyślasz się chociażby, na jakie mię narażasz niebezpieczeństwa? Przed kilku już dniami pewne pismo galicyjskie dało pewnej gazecie również galicyjskiej trzyszpaltową admonicyę za to, że się ostatnia ośmieliła użyć „środków nieszlachetnych“ dla pobudzenia Polek do oddania swych klejnotów na oświatę. Gazeta owa miała napisać — niech jej to P. Bóg przebaczyć raczy! — do owych Polek, swych czytelniczek — dla podniecenia zapewne ich ofiarności — że, jak skoro stare swe klejnoty na oświatę ludu oddadzą, mężowie, bracia i narzeczeni sprawią im nowe (*la bêtise masculine est bien connue!*)... O zgrozo! o biada! co też ta stara grzesznica, gazeta owa, sobie myśli? Czy nie ma Boga w sercu, że tak bezczelnie z płcią piękną na mężkie spiskuje kieszenie!... Otóż nie inne kazanie może i sługę Pani spotkać, skoro owe pismo dowie się o skutkach pierwszej odezwy mojej w *Swicie*.

Ale czy Pani może na seryo wzięłaś ostatni mój przypisek? — Wie Pani, że gdyby tak było w istocie, nietylko dostałbym żywych wyrzutów sumienia, alebym zwątpił zupełnie o mojej umiejętności pisania... Jakto! czyż może być nieszczęśliwszy los i smutniejsze światectwo dla pisarza: chcieć napisać czarno, a wyrazić biało, chcieć, jak ja, składki ludowe wyśmiać, wyszydzić, a wywołać mimo-chcąc wprost przeciwny skutek!... Ah! wie Pani, że gdybym mógł przypuścić, że Pani napisałaś wyżej przytoczone słowa na seryo, żeś nie żartowała i żem ja istotnie, rzeczywiście, przyczyną wymienionego tam postanowienia... wie Pani cobym zrobił?... — Oto nie namysławiając się ani jednej chwili, bez najmniejszego względu na to, coby na tem miała ucierpieć Polska — złamałbym moje pióro i już odtąd nigdy, oh przenigdy! prozy mejbym światu do czytania nie dał...

Jakto! do tego stopnia być niezgrabnym, żeby na taką kompromitacyę narazić zacząć polską matronę (czy może panienkę — przepraszam!)?... Czy też Pani rozważyłaś do czego by krok podobny Panią doprowadził?... Zajmować się zbieraniem w powiecie składek na oświatę ludu! Ależ zastanów się Pani! i dowiedz naprzód, czem są owe składki?... Muszę Pani, skoro tak rzeczy stoją, całą tę historię wyłożyć jak na dłoni — bo widzę, żem doprawdy w niebezpieczną wpłatał się historię i sumienieby mi wyrzucało nie na żarty, gdybym dziś nie uczynił wszystkiego, co w mej mocy, by przeskoczyć złemu, o którym może być prawdopodobieństwo, żem je wywołał...

Otóż opowiem Pani co to są te składki, kto rzucił pomysł onych i w jakim celu? i do czego one doprowadzić mogą nasz nieszczęśliwy, eksploatowany kraj — biedną Galicyę?... Tylkoż Pani nie pomyśl znowu, że tym razem także plotkę pisać będę — tytułu wprawdzie zmienić nie mogłem, ale w gruncie będzie to prawda — najrzeczywistsza.

Punkt I.

Od kogo wyszedł ów szatański projekt składek na oświatę ludu?

Zapytaj się Pani swego ks. proboszcza, a odpowie, że tak nakazuje kościół i przezorna mądrość ojców naszych: „W każdej rzeczy, złej czy dobrej, jak skoro o robotę chodzi, nie pytaj czem robota owa jest sama w sobie, złą czy dobrą? — pytaj, kto ją poczyną? Chociażby praca, do której Cię wzywają była w sobie jak najlepszą, gdyby tylko inicjatorem jej miał być na nieszczęście heretyk jaki lub broń Boże! człowiek nie z tego świata, odrzuć ją, przeklnij, przeszkadzaj jej wszystkimi siłami... A na odwrót, skoro Cię zachęca twój przyjaciel, lub twój przewodnik duchowny, chociażby do rzeczy najgorszej na pozór, słuchaj ślepo i pomagaj jak tylko zdołasz — bo złem być nie może co twój przyjaciel, albo ksiądz radzi.“

Tak każe przezorna mądrość i zachowawcze zasady!

A Pani, czyżeś się zastanowiła nad tem, kto pierwszy tę zbrodniczą myśl składek rzucił? Aż nie Emigracya?... Owe farmazony, włóczęgi, zbieranina ze wszystkich końców Polski... ani to tytułowani, ani wiadomo nawet czy szlachta?... A wie-li kto, w jakiej to myśli oni rzecz tę zaproponowali?... może by wspierać herezyę Döllingera? I pani byś się z takimi ludźmi, o których nie wiedzieć nawet kto ich rodzi? miała wiązać. Lecz może Pani nie wierzysz, że to Emigracya podała myśl składek — czytaj tedy wiedeńskie dzienniki,

a przekonasz się z nich, do jakiego stopnia nawet sam p. Namiestnik, Ekscellencya, dał się im wyprowadzić w pole... Nie mało mu to nawet na jego zagraża posadzie, jak pisze *Neue Freie Presse*.

Punkt II.

Czem są składki na oświatę same w sobie?

Mądrość narodów powiada — spytaj się l'ani ks. proboszcza a odpowie:

„P. Bóg świat stworzył, a niedowiarki tylko chcą go poprawiać. Tworząc świat, P. Bóg stworzył naprzód bogate (historja o Adamie i Ewie to była plotka, jak się pokazuje), a później dopiero ubogie, aby bogatym służyli; naprzód szlachtę, a potem dopiero chłopów; a przed szlachtą jeszcze stworzył baronów; a zaś przed baronami hrabiów, i dał im po dziewięć pałek do każdej korony, oszczędzając za to na mózgowej masie — lecz o tem ostatniem nie wypada zbyt głośno mówić... A zaś na samym już początku stworzył P. Bóg Ekscellencye, szambelanów i J. O. książąt... Ztąd dla ludzi rozumnych jasna jak słońce płynie nauka, że chłop powinien pozostać chłopem, a baron baronem; chłop powinien pozostać głupim, aby głupio P. T. szlachcie służył... A te farmazony chcą chłopów uczyć... Czy słyszałaś Pani?... Świat przez Boga stworzony poprawić — nie dobry im taki jaki istnieje od początku!...”

Punkt III.

Do czego składki mogą doprowadzić Galicję?

Naprzód ją zrujują! A później, wiesz Pani, że jak ci emigranci uczą wszystkich czytać i pisać, Pani będziesz musiała sama strugać ziemniaki i warzyć sobie wiecerze...

Później, ta ich oświata, wszakże to czysta herezya!... Ani księży chcą, tylko samych świeckich nauczycieli!...

A zatem, jako do katolicyzmu i jako do Polki także — bo przecież w Polsce już od XVI wieku tego nie bywało (przedtem to co innego!), żeby chłopcy czytać umieli; jako do damy nakoniec, rozsądnej i dobrego towarzystwa, zwracam się do Pani z prośbą, zaklinam Ja, wyrzec się swego projektu zbierania składek na oświatę ludu — jeżeliś go doprawdy (czego się nie spodziewam) kiedy na seryo miała i wytłumacz twoim sąsiadkom także, jeżeliś taki nieszczęśliwy, że mię nie zrozumiały, że wszystko com pisał ostatniem razem był to tylko żart, istny żart, jak na plotkarza przystoi... Powiedz im Pani! żem przecie nie tromtadrata żaden ani redaktor *Gazety Narodowej*, żebym miał składki na oświatę ludu forytować... Gdybym miał kiedy — od czego uchowaj mnie Pani! na dziennikarza się kierować, raczejby mnie ku drugiemu piśmie lwowskiemu wabiły tak onego, umiarkowanie, zmysł polityczny i, w polemice, ton dobrego wychowania... Ale, chwała Bogu! mam nadzieję, że politycznym dziennikarzem nigdy nie będę, i że, oprócz *Świtu*, który jest organem waszym, piękne Pani! żadne z pism lwowskich mojej prozy nie skosztuje... Tak mi Pani Boże dopomóż i Trójco Przenajświętsza! — jak się mówi przy ślubie... Pamięta Pani?...

A teraz, po tak długim i nieco nudnem — proszę wybaczyć — kazaniu, powrócę do mego tytułu i opowiem wam plotkę — ale już plotkę istotną — o mało com nie powiedział prawdziwą... w której już ani słowa, ani nawet słóweczka prawdy nie będzie...

Słuchajcie!

Ale, ale! Zanim do plotki przyjdzie... Przypomniadem sobie, żem obowiązany jeszcze dać Pani radę: jeśli Pani masz rzeczywiście pieniądze do wyrzucenia, to zamiast je dawać na oświatę ludu, zkąd, broń Boże!

jeszcze herezye jakie wyniknąćby mogły, a na czem, w najlepszym razie, skorzystałaby tylko chyba Polska jedna — a co nam po Polsce! Polska to polityka, a za politykę, p. c. k. prokurator *Świtowi* procesa wytacza — jeśli pani masz rzeczywiście pieniądze do wyrzucenia i sąsiadki Pani także, sto lepszych możecie z tej zbywającej monety zrobić użytków...

Możesz Pani i każda z was może, zamiast jednego egzemplarza *Świtu*, zaprenumerować dwa egzemplarze, trzy... a nawet sto! gniewu o to nie będzie... W większej liczbie egzemplarzy zaprenumerowany *Świt* możecie Panie rozdawać darmo, dla cywilizowania świata i to dopiero Oświata prawdziwa! Możecie z numerów *Świtu* wykrawywać formy do staników, albo też w nim wielkanocne wypiekać babki; możecie, nakoniec — oh! toby był dla nas zaszczyt najpożądany!... robić żeń papiloty, owe szczęśliwe papiloty, którym — dla tego, że je traktujecie *en rien du tout* — tak poufale pozwalacie pieścić się z waszemi przesłicznymi twarzyczkami i i na główkach waszych cudownych z wietrzykiem swawolić jesiennym — *moi je suis pour la jesień, comme vous voyez; le printemps me semble trop fade et trop usé!*

Chacun son gout,

Savez — vous!

comme dit la chanson de Bruxelles... Ça tient peut-être aussi un peu à ce que moi-même, je commence à me sentir déjà sur le retour — mais, pour l'amour de Dieu! n'en soufflez mot à vos voisines — cela me perderait dans leur estime...

Ale nie! Lepiej, nie róbcie, Panie! z mojej prozy papilotów... przyrzeczcie mi to z góry i zaraz... Bo już czuję zazdrość falującą mi po żyłach, kłębiącą nerwy, na samą myśl, że proza moja może dostąpić u was, na papiloty przerobiona, łask, o których mnie samemu ani nawet marzyć... Gotów jestem tej mojej prozie co złego zrobić, doprawdy! Przejdźmy lepiej do czego innego...

Ah! wszakże nie skończyłem jeszcze o wybornych użytkach, jakiebyście mogli zrobić ze zbywających wam pieniędzy, nie potrzebując się uciekać aż do marnowania ich na oświatę (marnowania — *je sais mon mot et je le retiens*)... Gdybyście nie chciały tak wiele prenumerować *Świtu* — w czem jednakże, pozwólcie to sobie powiedzieć, błąd wasz byłby wielkim — tedy mogłybyście klejnoty wasze posłać papieżowi... Papież dzisiaj taki biedny, po utraceniu tronu, że chcąc dopomódz biedniejszemu jeszcze od siebie biskupowi ks. Kuziemskiemu, którego Moskale oszukali, podobno w Chelmie, pomimo, iż im tam tak gorliwie nawracał unitów na prawosławie; chcąc biednemu temu i zasłużonemu kapłanowi, powiadam, przyjść w pomoc, papież zaledwie zdołał nadesłać na jego użytek 3000 dukatów w złocie, co reprezentuje mizerną sumkę 15.000 guldenów w srebrze... A wieleż to takich Kuziemskich biedny papież ma do wspomagania dzisiaj, kiedy pod moskiewskim zaboborem, tylu księży katolickich przechodzi na prawosławie i parafian swoich nawraca na prawdziwą wiarę carów!... Oprócz tego, czyż nie ma wielebnych OO. jezuitów prześladowanych wszędzie, wypędzanych zewsząd?!... Wydanych na łup bezbożników, panów świata tego, któż wesprze te pożyteczne służby kościoła, jeśli nie Pius IX., nieomylny następca również nieomylnego Klemensa XIV., który zakon tychże wielebnych OO. jezuitów był skasował i za zbrodniczy, a światu szkodliwy ogłosił...

Gdybyście mniej czułe córki opuszczonej głowy kościoła, ale niemniej przeto gorliwe katolicyzmu, nie chciały nie dać na święto-pietrze — żałowałbym was wtedy bardzo, ale nie mniej przeto, mógłbym wam wskazać

jeszcze kilka pożytecznych, a może nawet coraz pożyteczniejszych użytków z waszych pieniędzy...

W Chinach są dzieci, które OO. jezuitci, poukrywani w krzakach łowią w samotrzaski — jak u nas kuropatwy — gdy wyjdą (mowa o dzieciach, a nie o OO. jezuitach) w pole zbierać kwiatki lub pokłosie... Dziatki te, porwane rodzicom i na chwałę bożą pochrzczone, potrzebują przecie nauki i oświaty, bez której nasza chłopka *marmaille* obchodziła się dotąd, a więc i dalej obchodzić się może...

W Adrianopolu także, rywale OO. jezuitów, przewielebni OO. zmartwychwstańcy założyli szkołę dla małych Bułgarów jak o tem, z przejęciem się prawdziwie światobliwem donosi wczorajszy *Czas*... Czyż nie lepiej, za nasze pieniądze uczyć szlachetnych (?) Bułgarów, aniżeli naszych ruskich lub mazurskich chamów?...

Są wreszcie do podtrzymania katolickie szkoły w biednej Irlandyi, na które skąpy parlament angielski zaledwo kilka milionów funtów (funt znaczy z górą 10 guldenów) daje rocznie...

Wszystko to są wydatki pożyteczne i — przynajmniej — pożyteczniejsze stokroć nad ten, który wam tromtadraci proponują... Ale wiecie jeszcze jaki będzie wydatek najpożyteczniejszy — oto, ponamawiajcie mężów waszych, żeby was powywoziły zagranicę, do wód, po modne stroje do Paryża (Paryż bowiem — nie wiercie Niemcom — zawsze jeszcze taki modny!), bo kobieta jest na to, aby się bawiła, stroiła i traciła męzowskie pieniądze — nie zaś wcale na to, aby się tam krajem, Ojczyzną i dobrem publicznem zajmowała — od tego są niemieckie *Amty*... Wszystko, co wam mówią, albo piszą o obowiązkach Polek, córek Ojczyzny — wiercie mi moje Panie! to, jak słusznie powiada pewne rozważne pismo lwowskie, czysty wymysł tromtadratów; albo gorzej jeszcze! intryganka reminiscencya „anonymowych i pieczętkowych czasów“, jak trafniej jeszcze określił, dziś właśnie, senior pism krakowskich... Przy tem, zważcie jeszcze: wszystkie te mniemane obywatelskie obowiązki kobiet, to coś dziwnie traci emancypanckimi teoryjami — *fi! quel mauvais gout... Une femme devenir sérieuse, allons donc!*...

Une femme qui se respecte — s'amuse... Oto jest dogmat jeden i jedyny, w który wierzyć powinna kobieta — dobrego tonu. Po za tem, *il n'y a que des songes creux et pervers...*

Jeszcze, nie mówię, kobiety bez majątku, mieszczkańskie córki!... Tym wolno przybierać ton seryo i poważny, bo nigdy, biedaczki, bawić się nie będą miały za co; tym wolno nawet uczyć się i myśleć, jakkolwiek nauka i myśli wyorują bruzdy na czole, psują pięć... One dbać muszą o stanowisko dla siebie, o ludzką godność w sobie, o szacunek świata — to ich smutny los!... Lecz szlachecka córka, urodzona do korony, czegoż komu pozazdrościć może, gdy, w domu męża zostanie sułtanką?...

Amusez — vous donc, Mesdames! — vous resterez des jouets... Quel sort égale celui-là?... Et surtout ne vous mêlez pas de la oświata ludowa... Voilà mon conseil... Et là-dessus, salut!

Wasz zawsze wierny

Arodaz.

Co do obiecanaj plotki, przeczytajcie raz jeszcze mój powyższy artykuł, byle z uwagą, a niejedną w tekście znajdziecie. — Cała sztuka plotkarstwa na tem, aby tak pleść, żeby nikt nie spostrzegł... Inaczej, pierwszy lepszy stary kawaler potrafi...

Ostatnie wiadomości. — Komitet dam we Lwowie (nie dziw, to siedlisko tromtadracyi!) zebrał fantów na oświatę, w wartości 10,000 guldenów — nie wiadomo tylko dotąd, w jakiej kasie je złożył...

Telegram.

Szczawnica, d. . . sierpnia . . . roku. Bawiące tu u wód damy urządziły na oświatę ludu wentę przedmiotów zbytkowych, które kupujący (bardzo drogo) obowiązali się, bez wyjątku, złożyć jako fanty na wielką loteryę komitetu składek dla oświaty ludu. — Zapal dla oświaty ludu niewidziany. — U innych naszych wód ma być, jak słyszyny, to samo.

Te Polki powaryowały, *ma parole!*

(przypisek mój)

Arodaz.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

TEATR. (Br. Z.) We Środę (d. 14 b. m.) przedstawiono na scenie lwowskiej 1-aktowy dramat Eugeniusza Manuela: „Robotnicy“ w pięknym i wiernym przekładzie pani Seweryny Duchńskiej. Jest w nim i szeroka a zdrowa myśl społeczna, jest poetyczne ujęcie przedmiotu, jest głębsze a unikające cynizmu malowidło charakterów. Kilka postaci wplątanych w grę wzburzonych uczuć, które przeprowadza autor umiejętnie, wyczerpująco i powabnie. Wyrobnica Joanna miała niegdyś męża, brudnego rozpustnika, który w trunku zagrzebywał pamięć o rodzinie, obowiązkach, pracy... Powracając raz z nocej hulanki rzuca się na żonę, czyniąc mu wyrzuty i kaleczy ją nożem... Powstaje zgiełk, Morin ucieka przed sprawiedliwością i aż po 20 latach skruchy i ciągłej walki ze sumieniem powraca... Matka w jego obliczu rozpowiada synowi całą haniebę przeszłości... Walka wzruszająca, która kończy się przebaczeniem... Ściera się w tym dramacie dwa światy, dwie epoki społeczeństwa francuskiego, nadając mu barwę socyalnej tendencji... Rozpustny i pijanica Morin, to robotnik dawny, to epoka ciemnych i duszących stąsków, to jeden z tych, którzy musieli mieć swoją rewolucyę marcową, swoje idee komuny; Marcell to przyszłość stanu robotniczego, epoka światła, oszczędności, uczciwych obyczajów, epoka nienaruszonych praw „rodziny i własności“, z któremi wbrew Internationalowi może ostać się szczęście robotnika — to rozwiązywanie kwestyi socyalnej bez wyrafinowanych dziwactw Fourriera i Considéranta... Piękny ten poemacik dramatyczny

wykonali z wzorową starannością: pani Aszpergerowa (Joanna), panna Deryng (Helena), pp. Konarski (Morin) i Woleński (Marcelli).

Składka na fundusz szkół ludowych.

Stanisław Nurkowski 2 złr. — Z kwotą poprzednią 36 złr.

KORESPONDENCYA od REDAKCYI.

Redakcyi *Tygod. Wielkop.* Jeżeli apostrofa Wasza nie do nas była wymierzona, chętnie odpowiedź cofamy. Niczego mniej nie pragniemy, jak polemiki dla polemiki. Zawsze jesteśmy zdania, że cele i dążności nasze w obec obu prowincyi powinny być jedne i solidarne. — *Panu W.* w Krakowie. Za parę dui odpowiemy.

Od redakcyi. Szan. Abonentom, którzy dotąd opóźniają się z ponowieniem przedpłaty, przypominamy, iż należy to uczynić w **najkrótszym** czasie, jeżeli nie chcą uciepieć zwłoki w odbieraniu pisma.